



ZAWZIĘTA JAK ZIĘTEK

Mieszkanie z mamą i opiekowanie się nią uważam za jedną z najlepszych decyzji. To się wiąże z jakimś wyrzeczeniem, ale tyle, ile się dostaje w zamian, nie da się z niczym porównać. To są wdzięczność, serce, przywiązanie, cierpliwość, które mama ma dla mnie.

EWA ZIĘTEK
mówi nam o swoich życiowych wyborach.

Rozmawia KAMILA DRECKA
Zdjęcia ZOSIA ZIJA i JACEK PIÓRO

Teatr Kwadrat, w którym pracujesz już 16 lat, cieszy się niezwykle popularnością wśród widzów.

Ludzie chcą się śmiać. Życie jest ciężkie, więc szukają oddechu, ucieczki od trudnych tematów. Zdarzają się lepsze i gorsze spektakle, ale na widowni każde miejsce jest zajęte. Czasami, kiedy dostajemy brawa na stojąco, ogromnie cieszę się, że to, co robię, ma sens. Bo czasami wątpię...

Naprawdę?

No pewno. Ale kiedy widzowie wstają z odruchu serca, to myślę sobie, że może to nie są stracone lata.

Co ci najbardziej przeszkadza w tym zawodzie?

Z aktorstwa po latach zaczyna się wyrastać. Chciałoby się spróbować czegoś innego. Ale czy ja potrafię robić coś innego? Oczywiście, że bardzo kocham to, co robię, ale momenty zwątpienia przychodzą i wtedy czuję, że powinnam coś zmienić.

Umiesz coś innego?

Chyba nie. Są kobiety, które potrafią szyc albo upiec ciasto. Ja takich talentów jestem pozbawiona.

Zagrałaś świetne role, było ich bardzo wiele...

Mnie się wydaje, że bardzo mało.

Samych ról filmowych masz w dorobku ponad 80, a w tym są role serialowe, kręcone przez długie lata. Miałaś fantastyczne początki – debiut u Andrzeja Wajdy w „Weselu”.

Podczas egzaminów wstępnych do szkoły teatralnej zwrócił na mnie uwagę Aleksander Bardini. Polecił mnie Andrzejowi Wajdzie i zaraz potem znalazłam się na zdjęciach próbnych do jego filmu. Wajda jest niesłychany. Potrafi w dwóch zdaniach wprowadzić w klimat granej postaci, a ja mam od Boga dar prostoty i korzystam z niego.

W teatrze też miałaś rewelacyjny debiut w „Trzech siostrach” w reżyserii Aleksandra Bardiniego. Dostałaś rolę Olgi – wyciszonej, wrażliwej osoby.

Bardzo cierpiałam, ponieważ moje koleżanki – Joasię Szczepkowską i Krysię Jandę – upiększono. A mnie postarzano. Do tego wsadzono mi na głowę ogromniastą perukę.

Zaczynałaś od ról, na których można było się nieźle wyłożyć.

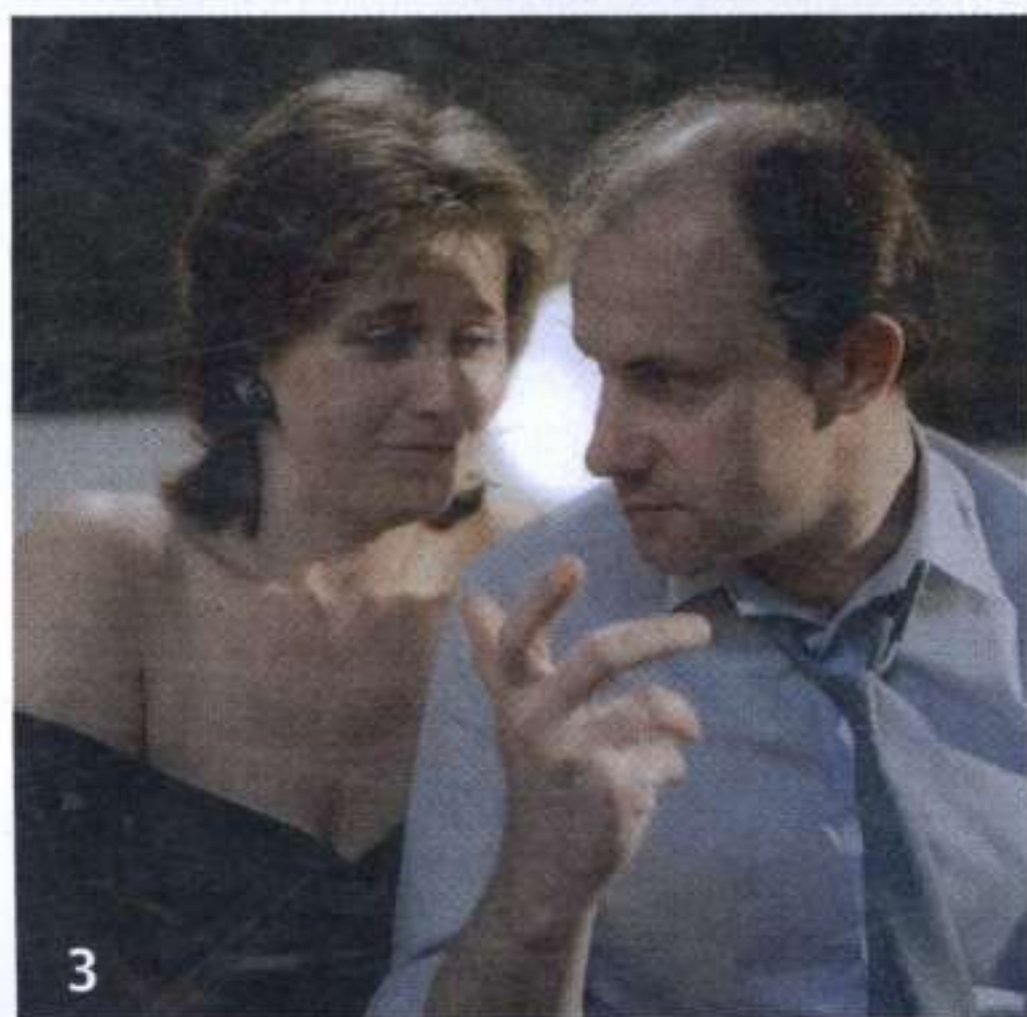
No tak, ale jak reżyseruje Andrzej Wajda czy Aleksander Bardini, to trzeba się bardzo postarać, żeby się wyłożyć. Wspiera cię ich talent, ale przede wszystkim wiesz, że bierzesz udział ➤



1



2



3



4



5



6

1. Kadr z filmu „Wesele” w reż. Andrzeja Wajdy (1971).

2. W obiektywie Zofii Nasierowskiej, 3. „Sztuka kochania” (1989).

4. Kadr z serialu „Alternatywy 4” w reż. Stanisława Barei (1981–82).

5. Przedstawienie teatru Kwadrat „Perfect Day” (2008).

6. Ujęcie z serialu „Kariera Nikodema Dyzmy” (1980).

w ważnej i wartościowej sprawie. Po szkole teatralnej byłam w Teatrze Narodowym u Adama Hanuszkiewicza w tym okresie, w którym powstawały jego najlepsze przedstawienia. Byłam szczęśliwa, że mogę w tym uczestniczyć. Wtedy aktorstwo było czymś innym niż dzisiaj i dlatego czasem wątpię w sens bycia aktorką. Zwłaszcza kiedy pod niemal każdą twarzą widzę podpis: aktorka. A przecież to nie jest takie proste. To pewna umiejętność. To prawdziwość, predyspozycje, warsztat. Odkryłam, że aktorstwo jest dla mnie ważne, ale z przyczyn egoistycznych. Myślę, że chodzi o to, żeby mnie kochali.

Czyli potrzebujesz uwagi?

Czasami byłam od tego uzależniona. Czułam to stojące powietrze, jakąś jedność z widownią, energię przepływającą między nami. To przedziwny zawód – trzeba być pierwszym, a jednocześnie czuć respekt dla innych ludzi. I to nie jest łatwe.

Kiedy odkryłaś, że chcesz być aktorką?

Nie bardzo podobała mi się rzeczywistość. Żyłam marzeniami i wymyśliłam, że dzięki aktorstwu będę mogła oderwać się od tej paskudnej szarzyzny życia codziennego. Kiedy oświadczyłam w klasie, że zostanę aktorką, koledzy spojrzeli na mnie ze zdziwieniem. Pomyślałam: „No to zobaczymy!”

Powiedziałaś w domu, że chcesz jechać na egzaminy wstępne do szkoły teatralnej, a ojciec ci zabronił.

Byłam wychowywana w dość tradycyjnym domu. Ojciec uważał, że aktorka to nic dobrego i że to nieodpowiednie zajęcie dla porządnej dziewczyny. Ale, o dziwo, te przeszkody mnie wzmacniały.

Po cichu z pomocą mamy pojechałaś na egzaminy, wiedząc że drogi powrotnej nie ma.

Nad ranem wyjechałam z Katowic. Po raz pierwszy w życiu jechałam sama pociągiem, z tekturową walizką. W Warszawie trochę zagubiona rozpytywałam na ulicy, jak dojechać do szkoły teatralnej. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu nikt z przechodniów nie wiedział. Dopiero kiedy zapytałam o ulicę Miodową, wskazali mi drogę. W akademiku nie było już miejsc, bo w tej samej sprawie co ja przyjechały tłumy. Spałam na zapleczu szkolnej sceny wśród zakurzonych rekwizytów. Żadne trudności nie były istotne wobec tak silnego pragnienia dostania się do szkoły. Powiedziano mi, że jestem duża, że muszę mieć charakterystyczne, mocne teksty, ale też że nie mam głosu spójnego z postacią, więc kiedy mówiłam „Zośkę Wariatkę” Tuwima, obniżałam głos, żeby brzmiało przekonująco. Na szczęście na egzamin wyrwano mnie nagle, nie w porządku alfabetycznym, więc nie zdążyłam

się zdenerwować. Stałam na środku salki estradowej i powiedziałam: „Dzień dobry”. Nikt na mnie nie zwrócił uwagi. Powiedziałam drugi raz: „Dzień dobry”, i znów bez odzewu. No to już niemal krzyknęłam: „Dzień dobry, czy mogę zdjąć buty?”. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego te buty przysły mi do głowy, ale czułam, że jakoś muszę zwrócić na siebie uwagę, by mnie zapamiętali. Członkowie komisji (Łomnicki, Łapicki, Mrozowska, Bardini) trochę oniemieli, ale poprosili, żebym wyrecytowała fragment jednego z „Trenów” Kochanowskiego. I dodali, że wystarczą im dwie albo cztery linijki. A ja wyrecytowałam cały. Wrażenie zrobiłam chyba tym, że potrafiłam to powiedzieć tak, jakbym miała sześć lat.

Jesteś niesamowicie uparta.

Zawzięta jak Ziętek. Podczas egzaminu praktycznego zapytali mnie, czy umiem zrobić mostek. Odpowiedziałam, że oczywiście. Kazali zademonstrować. Bardzo się zdziwiłam, że nie uwierzyli mi na słowo. Pomyślałam: „Teraz będzie moja klęska”. Skupiłam się i jedyny raz w życiu zrobiłam mostek.

I tak całe życie. Wielokrotnie kiedy robiłaś coś po raz pierwszy, w ogóle się do tego nie przyznawałaś.

Kiedys zadzwonili z produkcji i zapytali, czy śpiewam. Odpowiedziałam jak zawsze: „Oczywiście”. Usłyszałam, że w takim razie od jutra zaczynam próby do spektaklu „Jaś i Małgosia” Humperdincka w Teatrze Wielkim. Trochę byłam zaskoczona, że w Wielkim. Ale poszłam. Ci, którzy byli po szkołach muzycznych, dostali łatwiejsze arie, ja tę trudniejszą. Przygotowywałam się do niej, ćwicząc z akompaniamentem fortepianu. Kiedy przyszłam na próbę, dyrygent zaordynował próby z orkiestrą. Weszło 80 osób, a ja wymiękłam. Na szczęście akompaniorka, która uczyła mnie tej arii, powiedziała że dyrygent da mi znać, kiedy mam wejść. Gdy machnął batutą, zaczęłam śpiewać i nagle zobaczyłam dziwne poruszenie wśród orkiestry. Niektórzy nawet odłożyli instrumenty, ale ja ciągnęłam swoje. Dyrygent zarządził przerwę, zawołał mnie do siebie. Wiedziałam, że nawaliłam, tylko nie wiedziałam w czym. Okazało się, że, owszem, dał znak, ale obojom, nie mnie. Myślałam, że umrę. A za dwa dni transmisja radiowa i milion słuchaczy. Straszny stres. Jakimś cudem zaśpiewałam czysto tę bardzo trudną arię. Kiedy zesłam ze sceny i zamknęłam drzwi w garderobie, to osunęłam się na podłogę.

Ćwiczysz śpiew w domu?

Kiedy śpiewałam w „Słudze dwóch panów” arię Rozyny, codziennie ćwiczyłam wprawki. Sumiennie, nie zawsze

czysto, ale zawsze głośno. Po miesiącu otworzyło się okno naprzeciwko mojego domu i ktoś krzyknął: „Jest lepiej!”. Przyszła premiera. Grałam w wielkiej peruce rokokowej, w różowych butach i różowej sukni. Kiedy weszłam na scenę, nie zorientowałam się, że postawiono dekoracje niżej niż na próbach. Futryna drzwi znalazła się niżej i rąbnęłam w nią tą peruką. Publiczność zaczęła się głośno śmiać, ja też i już chwyciło. Wtedy prawie uwierzyłam, że mogę zostać śpiewaczką operową.

Wchodzisz na scenę, a widzowie już umierają ze śmiechu.

A całe życie chciałam być tajemniczą damą. Wiedział to Bardini, który po latach od skończenia szkoły teatralnej zobaczył mnie na jakimś przyjęciu, gdzie pojawiłam się w twarzowym kapeluszu, mocno odchudzona. Spojrzał na mnie i zapytał: „Ewa? Ewa Ziętek?”. Potwierdziłam. Powiedział: „Spełniło się pani marzenie, jest pani tajemniczą damą”. Nie wiem, co mam w sobie takiego, co uwodzi widzów. Czasami mi się wydawało, że może mi to za łatwo przychodzi, że może powinnam inaczej...

To był twój pomysł czy reżysera Stanisława Barei, kiedy w serialu „Alternatywy 4” wyśpiewujesz wniebogłosy repertuar Hanny Banaszak?

Zrobiłam to dla draki. Zaproponowałam Barei, że się przejdę, podśpiewując i kręcąc w kółko wiaderkiem na śmieci. Mruknął: „A, śpiewaj!”. Pośliznęłam się i wykorzystałam to, by wypaść jeszcze zabawniej. A widzowie to zapamiętali.

Grałaś zawsze bardzo wyraziste postaci. Nawet kiedy to były niewielkie role...

Talent! Zupełnie niedawno to odkryłam. Ale to wszystko, co jest w aktorstwie najważniejsze, ten trudny do określenia błysk, to nie jest moja zasługa. Dostałam to i z tego korzystam.

Teraz grasz w „Barwach szczęścia” Walerię, przedtem przez lata byłaś Martą Gabriel w „Złotopolskich”, żoną policjanta.

Kiedys wsiadłam do taksówki i poprosiłam o kurs na Dworzec Centralny. A taksówkarz ze zrozumieniem kiwnął głową: „Jedzie pani do męża...”. „Do jakiego męża?” – zdziwiłam się. „Przecież ma pani męża, no przecież komendant posterunku na Centralnym!” Mówię: „No tak, wszyscy tak samo na mnie reagują”. Podjeżdżamy pod dworzec, otwieram drzwi, a tam stoi Paweł Wawrzecki, serialowy mąż. No i co?

Wiem, że są role, których nie przyjmujesz, nawet jeżeli są bardzo ciekawe.

Bo nie chciałabym brać udziału w przedsięwzięciach, pod którymi nie mogłabym się podpisać w życiu. ➤

Jak dostaniesz rolę morderczyni, to przecież nie znaczy, że gustujesz w zabijaniu ludzi.

Umówmy się, że roli lady Makbet u dobrego reżysera nie odmówię. Ale rzeczywiście, mam taki rodzaj sumienia. Nie chcę okłamywać sama siebie. Biorę za role odpowiedzialność, ale też ponoszę koszty. Bo na przykład po kolejnej mojej odmowie zagrania jakiejś roli dyrektor teatru zapowiedział, że w takim razie więcej w jego teatrze już nie zagram. Zdarzają się propozycje zagrania takich ról, które odbiegają znacznie od mojego systemu wartości. Wtedy odzywa mi się w głowie dzwonek ostrzegawczy i staram się w to nie wchodzić. Znalazłam się już w takim punkcie swojej drogi zawodowej, że pewnych rzeczy robić nie muszę. Spotykam się z różnymi reakcjami. Albo mnie wyśmiewają, albo nawet lekko atakują. Ale myślę, że muszę być wierna sobie.

Po latach wróciłaś do bycia praktykującą katoliczką, a nie tylko teoretyczną...

To znaczy co?

Wierzącą, ale niepraktykującą.

Wierzę, ale nie chodzę do kościoła? Dla mnie to jest dziwne! Bo jeżeli wierzysz w Boga, to znaczy, że Go kochasz. Wierzysz, że cię stworzył, i idziesz Mu za to podziękować. A ponieważ Bóg w swojej miłości do nas dał nam wolną wolę, to możesz sobie nie wierzyć, ale z mojego punktu widzenia to się „nie opłaca”.

W Polsce jest wielu katolików po rozwodach i żyją podobnie jak ty w rozdarciu. Bo z jednej strony masz ślub kościelny, a z drugiej – męża już nie masz, bo się rozwiodłaś.

Teoretycznie mam. Oczywiście, fizycznie nie ma go ze mną od kilkunastu lat. Mam męża, którego nie mam. Ale wtedy, po rozstaniu, postanowiłam, że już z nikim się nie zwiążę. Mam przyjaciółki, które są w kolejnych związkach i następnego ślubu kościelnego wziąć już nie mogą. Ale są osobami wierzącymi, uczestniczą w mszy i nie przystępują do sakramentów. Bardzo nad tym boleją.

Doskwiera ci samotność?

Oczywiście, jak każdemu, kto jest bez pary. Jednak wolę być sama i móc przystępować do sakramentów. Kiedy kilkanaście lat temu podjęłam taką decyzję, moje koleżanki bardzo się



dziwiły, że nie chcę z nikim być, bo mam ślub kościelny. Może i bym chciała, ale przecież przysięgałam przed Bogiem. Pewnie, czasem ktoś mi się spodoba albo poczuję się samotna, ale ból czy cierpienie też może być wartością. Marzymy o świecie bez bólu, ale trudne momenty są po to, żeby je przewycięzać. One nas kształtują.

Od dłuższego czasu mieszkasz z mamą...

Która już wymaga opieki.

A myślałaś o tym, że zwyczajnie możesz nie dać rady?

Doszłam do wniosku, że jak człowiek podejmuje właściwą decyzję, to Bóg mu dopomaga. Nie zawsze jest łatwo. Bardzo się z mamą zbliżyłyśmy i teraz kiedy moja mama jest u mojej siostry, to za nią bardzo tęsknię. Dzięki temu, że już jakiś czas mieszkamy razem, rozwija się nasze przywiązanie. Nauczyłam się...

Cierpliwości?

Jeżeli miłość z Listu św. Pawła do Koryntian cierpliwa jest – i to na pierwszym miejscu – to tak. Muszę jednak przyznać, że nie zawsze z tą cierpliwością jest tak świetnie. Ale coraz lepiej. Wydaje mi się, że tak powinno być: dorosłe dziecko zajmuje się swoim rodzicem. Właściwie wszyscy moi znajomi, którzy oddali swoich rodziców do domów opieki, mówili po ich odejściu, że żałują tej decyzji. Ja tego nie oceniam, broń Boże, bo przecież każda sytuacja jest inna. Poza tym ja tu nie jestem od moralizowania. Uważam tylko, że jest to jedna z najlepszych decyzji, jaką podjęłam. Nie spodziewałam się, że przyniesie mi to taką radość. Mama, która na mnie czeka, kiedy wracam ze spektaklu – to jest nie do przecenienia. To się wiąże z jakimś wyrzeczeniem, ale tyle, ile się dostaje w zamian, nie da się z niczym porównać. To są wdzięczność, serce, przywiązanie, cierpliwość, które mama ma dla mnie.

W dzień masz zdjęcia, próby, wieczorem spektakl, czasami wyjazdy. Musiałas w swoim życiu znaleźć przestrzeń dla mamy. To się jakoś samo załatwiło.

Czasami podpieralas się nosem.

To prawda, ale teraz mama jest u mojej siostry i chwilkę sobie odpoczywam.

Ale zdarzyło ci się, że ze zmęczenia wylądowałaś w szpitalu.

Przyszedł taki moment, że rzeczywiście wszystkiego było za dużo. W tym wariackim zawodzie tak już jest, że albo pracy nie ma w ogóle i człowiek myśli, że to już koniec, albo jest jej bardzo dużo. Właściwie nie ma stanów średnich. Tak też było wtedy.

Jak ważne było dla ciebie macierzyństwo?

To jest następne piękne przeżycie. Relacja między matką a córką jest ważniejsza niż wszystkie role razem wzięte.

Tu też uczyłaś się cierpliwości?

Miałam 25 lat i bardzo byłam pochłonięta swoim zawodem, kolejną premierą, mierzeniem się z rolą. To było moje życie. Matka aktorka to jest trudny przypadek. Było trudno. Dzisiaj zrobiłabym inaczej. Na pewno zawód nie byłby na pierwszym miejscu. Ale dla mnie Agata jest zachwycającą osobą...

Inną od siebie?

Mądrzejszą. O większym sercu. Może być bardziej utalentowana. Świetnie śpiewa, mogłaby być bardzo dobrą aktorką.

Widzieliśmy ją w serialu Jacka Bromskiego „U pana Boga za piecem”.

Myślę, że miała zbyt wiele talentów. Nie umiała się zdecydować. Ale jest szczęśliwą matką. Jesteśmy w bliskich kontaktach. Bogu dzięki!

Każdy człowiek ma takie momenty w życiu, których się wstydzi, o których chciałby zapomnieć. Wymazujesz je z pamięci?

Nie chcę zapominać. Chcę spojrzeć na siebie uczciwie. Że nie zawsze jestem w porządku. To wszystko mnie tworzy. Nawet to niedobre, to, czego się wstydzę, czego ogromnie żałuję i ponoszę tego konsekwencje. Staram się wyciągać wnioski.

Nie popełniasz tych samych błędów?

Zdarza mi się. Tylko wtedy żal jest większy. Fakt, że uważam się za osobę wierzącą, jest dla mnie ważną wytyczną w życiu. Wierzę w to, że każdy człowiek, który bardzo żałuje, ma szansę. Zmarły niedawno ksiądz Kaczkowski powtarzał: „Nie osądzaj innych, rozlicz siebie”. Chciałabym to umieć.

Lubisz siebie?

Mam różne problemy z samą sobą i ciągle się uczę obdarzać innych zaufaniem, bo przecież ja wszystko lepiej wiem. Pewnie też potrafię być zabawna. Ale jestem bardzo nierówna. Nagle wpadam w nieuzasadnione doły. Ale to głupio mówić o sobie.

Nie boisz się, że kiedy czasami napominasz ludzi, możesz zostać przez nich odrzucona?

Prosiłam w teatrze kolegów, żeby tyle nie klęli. To jest upomnienie? Staram się nikogo nie przekonywać, jak powinien żyć, bo tego nikt nie lubi. Pracuję nad sobą. Najlepiej żyć swoim własnym przykładem, chociaż na pewno nie jestem idealna. I pewnie nie będę.

Patrzysz w przyszłość optymistycznie?

Cieszę się każdym dniem. Każdy naprawdę mnie zaskakuje. Za każdy staram się być wdzięczna. I to jest prawie wszystko.

EWA ZIĘTEK znana i ceniona aktorka. Zagrała mnóstwo ról w filmie, telewizji i teatrze. W ostatnich latach popularność przyniosły jej seriale „Złotopolscy” czy „Barwy szczęścia”. Pod koniec lat 80. wyjechała do Niemiec, gdzie występowała z powodzeniem w teatrach i filmach fabularnych.